

Halina Birenbaum

Wojna Sześciodniowa 1967 **Z moich pamiętników**

Zapanowało niezwykle napięcie. Wielki, dławiący jak kleszcze niepokój. Każdy rozumiał powagę sytuacji – wszyscy, nawet dzieci uświadamiali sobie, jakim niebezpieczeństwem brzemieną jest chmura na majowym niebie naszego kraju, naszej najbliższej rzeczywistości. Wołały o tym nie tylko nagłówki gazet, głos spikera radiowego nadającego nowości polityczne w sprawie zablokowania dla Izraela Cieśniny Tyrańskiej. Nie tylko w wysyłanych i nadchodzących ze świata telegramach oraz najrozmaitszych komentarzach wyczuwało się nadejście najgorszej z burz. Jej zapowiedzią dyszało powietrze rozgrzane orientalnym słońcem, żarem wiosennych *chamsinów*, niebo rozrzucone warkotem przelatujących samolotów, rozedrgany asfalt pod pędzącymi autami – kamienie i trotuary ulic w każdym zakątku. Ciężkie, zatrwożone kroki już jakby wlokły za sobą to nadchodzące nieszczęście. Jednak nie było paniki. Nikt nie biegł do sklepów, nie wykupywał mąki, cukru – nie robił zapasów. Bo robić zapasy to jakby wprowadzić wojnę do domu, pogodzić się z jej nadejściem...

Napływały złe wiadomości, coraz gorsze. Wyczuwało się, że cały, z najwyższym trudem postawiony gmach egzystencji tego państwa, każdej rodziny i jednostki chyli się ku katastrofie. Czuło się to wyraźnie, choć na pozór życie płynęło normalnie. Dni były jasne, niebo pogodne, jak zwykle o tej porze. Ale w powietrzu pachniał proch, wiatr niósł zawieruchę – w sercach panowała groza ścisłał je spazm pytania: co będzie? – i żarliwa modlitwa o pokój, za wszelką cenę pokój!

Czas pędził jakby szybciej niż zawsze. Jak błyskawice przemykały auta na szosach – krążyły samoloty w przestworzach. Zdawało się, że napędza je nie zwyczajne paliwo, nie zwykłe ludzkie sprawy – lecz ciągłe oświadczenia rządów sąsiednich państw arabskich o szykowanej nam zagładzie. Wieści o zмовach i paktach dla zrealizowania tych zabójczych zapowiedzi, o postawieniu wielkich wojsk na granicach, okrążeniu. Te słowa i fakty mnożące się z godziny na godzinę, bezczelne, nieubłagane wrogie – stały się paliwem tego pędu. Na szosach auta obładowane workami piachu, naczyniami na zapasy wody, bronią, żołnierzami.

Narazie nie zaklejano okien, nie zarządzano zaciemnienia, nie słyszało się syren, ani nawet nie uciekano do schronów na próbę... Ale to wszystko się zbliżało. Żadne pertraktacje nie przynosiły pozytywnych wyników, nie pomagały niczyje interwencje, nikt nie był w stanie powstrzymać tej grozy, albo nie był naprawdę zainteresowany?...

Niepokój wzrastał, wzmagało się to nieszczęsne przeświadczenie, że dynamit wypełniający powietrze wokół musi wybuchnąć. Znowu rozpanoszy się dawno poznany koszmar, tylokrotnie opłacony utratą najbliższych. Po raz czwarty w tym pokoleniu, w ciągu dwudziestu kilku lat. Widocznie jeszcze nie czas, aby świat pojął i użył całego swego rozsądku i potęgi, aby nie dopuścić do nowej pożogi?! Trzeba na nowo zmierzyć się z losem. Cóż jeszcze może być straszne po latach gett i obozów hitlerowskich?! Strachem wszakże zostaliśmy przepelnieni ponad miarę – a bliska wizja zagłady fizycznej, śmierci – to stara „towarzyszka” naszego życia. Nasze „być” jest zapewnione. Na zawsze chyba zarejestrowaliśmy się w czystym i nieczystym sumieniu świata. Nikt nigdy nie zdoła nas stamtąd wykreślić. Nie pomogą spaczenia, kłamstwa. Chodzi teraz o chwilę bieżącą, o możliwość cieszenia się słońcem, pogodnym niebem i jaśniejszym dniem, w którym człowiek swobodnie się porusza, zasiada do stołu lub układa głowę na poduszce bez lęku, że przydusi go spadająca z nieba bomba. Móc zaśmiać się czasem, czasem zapłakać – przytulić dziecko do piersi. Włożyć do jego rączki kromkę chleba nie przesiąkniętą zapachem dymu i łez.

Posypały się wieści o masowej mobilizacji. Karty powołania uderzały w każdy dom. Ciężka chmura nad nami potężniała i coraz mocniej oblegała serca. Rozpaczliwe pożegnania, kurczowy uścisk dłoni, zdławione w krtani łzy rozstania i przylepione siłą uśmiechy rzekomej beztroski na zdrętwiałych wargach: „wszystko wróci wkrótce do normalnego trybu, będzie dobrze, musi być, musi...” Odchodzi syn, mąż, ojciec. W domu pozostaje smutek, dręczące pytanie: czy wrócą? No i ta okropna świadomość, że jeśli ta wojna wybuchnie – nie mogą wszyscy wrócić, trzeba będzie zapłacić życiem za wolność, czy klęskę. Kto? czym życiem? Gdzie to wyczytać? Może w tym niebie zwisającym nad nami ciężko, z przelatującymi wciąż samolotami? W powietrzu dyszącym grozą, w warkocie aut, w twarzach sąsiadów, przyjaciół, czy też we własnym sercu, czujnym teraz tak bardzo, napiętym?

Koła i tryby obracają się tylko w jednym kierunku. Cały ten szaleńczy pęd ludzi, pojazdów i serc skręca w ciasny krąg wojny, w przepaść. Jak go powstrzymać, zawrócić? Nie iść za nim? Uciekać, biec przeciwko prądowi.

Ale to już jest niewykonalne. Jakby potęgi ludzkiego rozumu i dobrej myśli nagle zagubiły swe źródła. Wicher nienawiści wysuszył je, spalił. Czas teraz pracuje dla wojny, stał się jej wyłącznym sługą i śmieje się z nas straszliwym, szatańskim śmiechem. Odpowiada mu głuchym echem rozpacz, bezradność.

Z dziwną pasją ja i moje sąsiadki porządkowałyśmy mieszkania. Czyniłyśmy to z większym uporem i pedantycznością niż zazwyczaj, jakbyśmy to jedno miały w głowie – porządek w domu, nic poza tym. Jakby od tego teraz wszystko zależało, pokazać światu i samemu sobie, że to jest nasz byt. Tutaj żyjemy, wychowujemy dzieci, tu znosimy swe radości i smutki. Dom. Nie damy go zburzyć. Nie zaniedbamy go w groźnej minucie, mimo że serce tłoczy groza, a przed oczami obrazy przebytej katastrofy. Raczej wyłączyć mięśnie i ciało spod władzy myśli, nie widzieć, nie słyszeć. Pracować normalnie, jak długo się da, nawet ze zdrętwiałym mózgiem. Utrzymać nadzieję, że to jednak nie nastąpi, że uda się uratować pokój bodaj w ostatniej sekundzie. Ale zbyt wieke prochu naładowano po obu stronach granicy...

Była sobota – smutna, ponura.

Większość mężczyzn już zmobilizowano. Od trzech tygodni szarpiąca nerwy atmosfera nie-wojny, nie-pokoju. Ogólne pogotowie i gnębiące oczekiwanie, co przyniesie następna godzina. Akurat przypadało na ten dzień święto „Lag-Baomer”, a dzieci jak co roku naszykowały stosy drewna i suchych gałęzi. Zezwolono im rozpać ogniska, ale niewielkie, i przykazano, żeby je wcześniej ugasiły.

Dałam się namówić na wzięcie udziału w ceremonii rozpalania stosu, a potem pieczenia kartofli w popiele. Dzieci miały same to robić, chciały tylko mieć nas przy sobie jako obserwatorów i gości. Z ciężkim sercem powlokłam się za moimi synami na ten ulubiony, tradycyjny *kumzyc* (majówkę). Patrzyłam osłupiała na rozbawione dzieci, jak z pasją ustawiają na szczycie stosu drewniane lalki, mające symbolizować polityków i władców wrogich Izraelowi, których imiona były teraz na ustach wszystkich: Nacer, El-Atasi, Kosygin. Lalki miały być spalone na stosie, oczywiście po „zestrzeleniu” ich z łuków na wzór bohaterskich wojowników Bar- Kochby, na cześć których odbywała się co roku ta uroczystość.

Chciałam zaproponować, lecz jakoś nie śmiałam otworzyć ust i prawić dzieciom morałów. Ich ojcowie i bracia leżeli w okopach na pustyni synajskiej pod prażącym słońcem, naprzeciw muru armat, tanków, minomiotów – naprzeciw tysięcznych mas żołnierzy arabskich, których dowódcy i rządy darły się w niebogłosość, że wyrzną nas wszystkich, że nas wrzucą do morza. Jak miałam tłumaczyć dzieciom, że nie wolno palić? Patrzałam w milczeniu w ognisko. Słuchałam dziecięcych śmiechów i pisków jakby dochodziły z innego świata. W napięciu, instynktownie nadśluchwałam, czy nie odzywa się w tym mroku jakiś inny głos?

Do ogniska podeszła jakaś starsza dziewczynka z tranzystorem przy uchu. Spiker już mówił o wybuchu min podłożonych przez Egipcjan, o podpaleniu przez nich zboża na polach kibucu Nachal-Oz. Zdrętwiałam. Spojrzałam na męża, pragnąc, aby mi powiedział, że to nie znaczy jeszcze, iż wojna się zaczęła... Nie przestawałam nadśluchiwać. Może wreszcie świat coś powie? Może odezwie się głos „Bloku Pokoju”, w który wówczas wierzyłam, może zażąda wycofania wojsk po obu stronach granicy? „Blok Pokoju” informował właśnie o pełnym poparciu dla jednej ze stron, nakazując poddać się drugiej, czyli izraelskiej!... Wydawało mi się, że ciemność panująca na dworze wdraża się i we mnie. Mąż pozostawał spokojny i pogodny. Mówił to, co teraz pragnęłam słyszeć: to jeszcze nie świadczy, że wojna jest nieunikniona, świat nie dopuści, na pewno nie dopuści!

Dzieci śpiewały, hałasowały, lalki wpadały w ogień, zaczęły się tańce, triumfalne wołania, że palą się wszyscy wrogowie Izraela, Nacer, Szukery oraz ich sojusznicy. Zdawało mi się, że jedna z tych płonących lalek to moja nadzieja czy wiara. Drżałam, że lada chwila nadejdzie karta powołania dla mojego męża, a ja zostanę sama z dziećmi w tej grozie. Bałam się tego – i jednocześnie wstydziłam, że dotąd go nie wzięli, czując się jakoś winna wobec moich sąsiadek i znajomych, których mężowie i synowie nie znajdowali się już przy nich. Starłam się wmówić sobie, że skoro nie zmobilizowali wszystkich, to znaczy, że sytuacja nie przedstawia się jeszcze tak groźnie, może się rychło poprawić, a wtedy i tamtych zwolnią.

Ostatnie płomienie ognia dopalały się, poczerniały żuźle, rozsypując się w popiół. Dzieci dojadły upieczone kartofle, zalały wodą wypalony, gorący jeszcze stos i ze słowem *Szalom*(pokój) pobiegły każde w swoją stronę.

Mąż objął mnie serdecznie, ujął pod ramię starszego syna, młodszego ja wzięłam za rękę i ruszyliśmy do domu. Serce miałam ściśnięte, nogi ociężałe. Nastrój przedednia wojny wsączał się w krew. Czułam się bezradna, postarzała nagle. Ledwie powlokłam się po schodach. Odetchnęłam z ulgą, gdy stanęliśmy wreszcie na progu naszego mieszkania. Czekałam, aż mąż otworzy drzwi, postanawiając natychmiast się rzucić na łóżko i zasnąć. Może sen przywróci mi spokój i opanowanie. Jutro chyba nadejdzie jakaś lepsza wiadomość, odprężenie. Syn zapalił światło. Na podłodze leżała kartka, którą ktoś podsunął pod drzwi podczas naszej nieobecności. Wezwanie do wojska dla męża. O świcie ma się stawić w swojej jednostce!

Taka krótka jest noc przed rozstaniem! Tak mocno ściśnięte gardło. Nie prześliznę się przez nie ani jedno z tych wszystkich słów, które by się chciało powiedzieć w takiej chwili. Tylko ten rozpaczliwy uścisk dłoni, spojrzenie w oczy.

Zapakował do plecaka kilka niezbędnych rzeczy, zagadywał do nas, uśmiechał się. Chłopcy płakali. Widocznie teraz dopiero zrozumieli, że coś straszego zwała się na nasz kraj, na nasz dom. Sama byłam bliska omdlenia. Na dworze lśniły wielobarwne światła reflektorów i przydrożnych latarni. Z zawrotną szybkością pędziły auta. Coraz przebiegali mężczyźni w wojskowych uniformach z plecakami na ramionach. **Żołnierze**. Wszyscy teraz przeistaczali się w żołnierzy.

W radiu nic pocieszającego. To samo pełne napięcia oczekiwanie, napastliwe oświadczenia rządów arabskich o wyzwoleniu Pakestyny, o świętej wojnie przeciwko nam. Dyskutowaliśmy nad każdym zdaniem podawanych w radiu wypowiedzi wielkich i możnych naszych czasów na Zachodzie i na Wschodzie. Uraczaliśmy się wzajemnie różnymi przysmakami ustawionymi na stole przez gościnne sąsiadki. Pomyślałam nagle, że jeżeli to napięcie i niepewność chwili przeciągną się, będzie trudno o żywność i ludzie będą mniej gościnni. Wzdrygnęłam się na wspomnienie swych dawnych doświadczeń. Wyjrzałam na dwór. Ruch, światła. Nic narazie nie przypomina tego, co jest w mojej pamięci. Ale lada chwila mogą te światła zgasnąć – i zacznie się. Tak łatwo jest niszczyć! Tylko budowanie jest trudne i trwa długo.

Przywódca partii komunistycznej Izraela, Mikunis i Sne, odważyli się złożyć oświadczenie wbrew Moskwie, że blokada Cieśniny Tyrańskiej jest

agresją przeciw naszemu państwu. Iskierka satysfakcji w oczach moich sąsiadek. Ale co dalej?

Dom osierociał, jak tylko mój mąż zamknął za sobą drzwi. Czas zaczął wlec się powoli i ciężko. Robota nie szła mi zupełnie. Coraz schodziłam do sąsiadki, albo ona zachodziła do mnie. Pocieszałyśmy jedna drugą, komentowałyśmy bieg wydarzeń. Wciąż modliłyśmy się na głos o życie naszych żołnierzy, o ich szybki powrót do domów. O rozsądek i opanowanie naszych ministrów oraz rządów państw mających wpływ na sytuację polityczną. To znów przeklinałyśmy politykę, interesy i intrygi poszczególnych rządów. I tak bez końca. Minęło w ten sposób dalszych kilka rozprażonych dni i bezsennych nocy. Zabrakło autobusów dla ludności cywilnej. Wszelkie przejazdy stały się nieznośnie uciążliwe, wszędzie tłok, ciasnota, zdenerwowanie. Zabrakło również wielu produktów z powodu trudności transportu. Ci, co posiadali auta, przewozili dobrowolnie innych. Dzieci zastępowały na wielu placówkach dorosłych. Roznosiły pocztę, rozmaite polecenia. Starsze kopały rowy przeciwlotnicze, porządkowały piwnice mające służyć za schrony, sypały piach do worków, które układano w stosy u wejścia do domów, uczyły się na specjalnych kursach pierwszej pomocy.

Ludzie pomagali sobie wzajemnie, jak nigdy przedtem. Otwarły się serca, wzmagala się ogólna odpowiedzialność, ofiarność, gotowość wyrzeczeń. Bo musimy obronić się, nie dać się zgładzić! Dom moich sąsiadek stał się teraz moim – mój ich. Nie musiało się nawet pukać do drzwi, wchodziło się, kiedy się chciało, siadało gdzie popadło i mówiło o wszystkim, co na sercu. Nie trzeba było niczego tłumaczyć. Staliśmy się wnikliwi, czujni, przezorni.

Coraz mocniejszy był zapach dynamitu – coraz bliżej wybuchu. Zagraniczne ambasady wywoziły swych obywateli. Biura podróży i lotniska zappełniły się tłumami odjeżdżających z naszego zagrożonego kraju. Ale też napływali ochotnicy z różnych stron świata, aby nam pomóc w obronie. Wszystko to potęgowało groźną atmosferę, zwiększało trwogę. Odwoływano wszelkie imprezy publiczne i rodzinne. W pewnej chwili nasza mnie myśl, że muszę bezzwłocznie napisać do wszystkich znajomych i krewnych za granicą. Trzeba się pożegnać, przesłać ostatnie słowo-pamiętkę, dopóki jeszcze nie jest za późno, dopóki w ogóle funkcjonuje poczta w naszym rejonie. Dobrze, że gdzie indziej na świecie ludziom to wszystko nie zagraża, że będzie komu pomyśleć o nas, pożalować...

W momencie najmniej oczekiwanym mąż wrócił do domu. Wielu nagle zwolniono. Nie zelżało przez to napięcie i gotowość wojenna. Jednak zrobiło mi się jaśniej na duszy. W domu weselej. Powiew normalnego życia w całym tym zamęciu: wczesne wstawanie rano do pracy, radość powrotu, wspólnych posiłków i spoczynku jak za dawnych, dobrych dni. Kilka dni pogodnych, zaprawionych świadomością, że są wypożyczone jedynie. Minęły szybko, jak każdy dobry sen. Nastąpiło brutalne przebudzenie rano 5 czerwca 1967 roku. Radio podało hasła jednostek wojskowych, gdzie żołnierze mieli natychmiast się stawić.

Tego dnia moi synowie sami przygotowali sobie śniadanie i poszli do szkoły, nie budząc mnie nawet. Wiedzieli, jak jestem zgnębiona tą sytuacją, i pragnęli mnie oszczędzić. Nagle stali się dorośli. Wojna zmienia wszystko błyskawicznie.

Wyrwał mnie ze snu alarm. Nie poruszyłam się jednak. Chyba próbny, starałam się uspokoić. Przypomniał mi się taki niby próbny alarm z września 1939 roku w Warszawie... Mrowie przeszło przez ciało. Nie chciało mi się wstawać na spotkanie takiego dnia. Wtem zaczęła mnie wołać sąsiadka z pobliskiego domku. Jej córka uczy się w tej samej klasie, co mój młodszy syn. Ania nie przestawała ponaglać: „Zejdź na dół, słyszysz, chodź do schronu, to wojna!” Wskoczyłam z łóżka bardziej wściekła na jej natrętne wołanie, niż przerażona tym, co mówiła. Nie bałam się – już stało się to, przed czym drżałam w ciągu tych ostatnich tygodni, odkąd zablokowano Cieśninę Tyrańską. Ania była w szoku. Jej syn, inżynier, był na froncie, a córka i zięć w jednym z kibuców na południu. Radio donosiło, że toczą się tam już ciężkie boje z Arabami. Zanim wyszłam z domu, nie zamykając nawet drzwi mieszkania, pobiegłam do sąsiadki na górze, aby ją także zbudzić i ostrzec. Ona jednak nie zamierzała pójść z dziećmi do schronu. Była *Sabra* i nie mogła uwierzyć, że Arabowie się odważą zaatakować niezwyciężalne, w jej pojęciu, wojsko izraelskie. Druga sąsiadka wtrącała się. Błada jak trup. Radio nadało z samego rana, że rozpoczęły się walki niemal na wszystkich granicach kraju – Egipt, Jordania, Syria.

Zbiegłam na dwór. Niebo bezchmurne, jasne. Nie słyhać żadnych samolotów. Tylko ta syrena wyje potwornie, ludzie biegną do rowów, zaskoczeni, przerażeni, kobiety płaczą. I dalej cisza. Wróciłam do mieszkania. Wyganiało po prostu swym ciasnym, nierealnym spokojem. Nie wiedziałam, co z dziećmi, z mężem? Wojna zastała każdego z nas w innym miejscu i drżałam, żeby nas nie rozłączyła na zawsze, jak kiedyś rodzinę w

Polsce. Alarm trwał niedługo. Radio nadawało komunikaty, rozporządzenia wojska i rządu. Nowości, komentarze polityczne, piosenki wojenne. Informowało o zażartych bojach na południu, w Jerozolimie. Przeciw nam Egipt, Syria, Jordania, Algier, Irak i reszta arabskiego świata oraz ich sojusznicy z „Bloku Pokoju”. Duszący pierścień obleżenia. Setki tysięcy żołnierzy arabskich, moc najnowocześniejszej broni. Walka o życie, o możliwość istnienia. Jak w Warszawskim getcie... Znowu schrony, piwnice, ciemność. U nas w okolicy tymczasem cicho. W sklepach normalnie sprzedają żywność, jak zawsze udzielają kredytu. W szkołach uczą dzieci, jak się zachować na wypadek alarmu i bombardowania. Radio zawiadamia o nowym regulaminie dnia, nowych porządkach i powinnościach społeczeństwa. Pełny stan wojenny, zaciemnienie, ogólna mobilizacja: młodzież, rezerwiści, dziewczęta. Wciąż wyczekiwałam czegoś. Już się nie żaliłam, nie oburzałam, nie modliłam. Zdarzenia przekraczały moje siły, zdolność pojmwania. Musiałam jednak dostosować się, wypełnić polecenia. Jak każda mała śrubka w maszynie wojny. Na granicach wrzały walki.

Siedziałam u sąsiadki. Słuchałyśmy radia, połykając każde słowo wydobywające się z niego. W całym kraju ludzie byli przykuci do radia. Głośniejsze trąbnięcie auta na szosie wydawało mi się syreną alarmową i przyprawiało o bicie serca. Byle szmer podrywał na nogi, jakby znak, że trzeba biec do schronu. A gdy znak ten okazywał się tylko tworem przewrażliwionych nerwów, siadałam z ulgą. Świadomość, że w innych częściach kraju leje się krew, drączyła jak zmora. Próbowałam uspokoić się faktem, że mąż jest dotąd w fabryce, przecież zwolniono go przed kilkoma dniami. Ale niepokój zagłuszał rozsądek. Tam też nie jest bezpiecznie. W tym maleńkim kraju każdy pas ziemi jest granicą i frontem, każde miasto, wieś, kibuc!

Myśli plątały się dziwnie, ciężyły. Nie było od nich ucieczki. Śmierć – albo niemożliwe zwycięstwo nad siedmiona państwami – sto milionów na nasze dwa i pół. Czym się pocieszyć nad przepaścią?

Mieszkanie sąsiadki było sprzątnięte jak na święto. Jej twarz niemal pożółkła z przerażenia. Wciąż paliła papierosy i piła kawę. Nie przestawała się modlić na głos o zdrowie, jak mówiła, naszych dzieci w okopach, żeby się żadnemu, broń Boże, nic złego nie stało... Przerwałam jej niecierpliwie: co pleciesz, wszak już bombardują, ostrzeliwują kibuce na południu – czy może nie być ofiar? Nie mogłam znieść jej modlitewnego bełkotu. Chodziła

po mieszkaniu ładnie ubrana i umalowana. Nie chciała uświadomić sobie rzeczywistości!

Wróciłam do siebie. Chciałam trochę ogarnąć mieszkanie, ale ręce miałam jak z ołowiu. Zmuszałam się do pracy. Kilka razy przerywał mi alarm i pędziłam do domu na wzgórzu, gdzie znajdował się nasz schron. Był daleko i w razie bombardowania chyba nie dopadliśmy go żywi.... Słońce piekło jak ogień, utrudniało drogę. Wycie syreny wprost paraliżowało nogi i hamowało dech. Po odwołaniu alarmu wracałam do przerwanych zajęć, do radia, do okna. Okno najbardziej przykuwało mnie do siebie, jakby z ulicy miał przyjść ratunek.

Wtem zauważyłam męża zbliżającego się szybkimi krokami do domu. O tak wczesnej godzinie z pracy? – serce ściśnęło się okropnym przecuciem. Nie omyliło. Radio podało hasło jednostki męża. Na front. A ja tak pilnie sprzątałam mieszkanie!... Wybiegłam naprzeciw, żeby być z nim kilka minut dłużej, zanim nałoży mundur i zawiesi na szyi blaszkę, według której rozpoznają na polu bitwy rannych lub zabitych. A zapewniał, że nie będzie wojny, że świat nie dopuści... Jednak wybuchła, powtórzył za mną, pakując znów swój plecak. „Ale jeżeli Ameryka i Związek Radziecki nie wtrąca się czynnie, my zwyciężymy, a oni na pewno nie wtrąca się, gdyż tchnęło by to wojną światową”.

Kiedy mąż stał już u drzwi, starszy nasz syn wpadł zdyszany do domu. Więc i ty idziesz?! Przecież byłeś przy pracy? Nagle zamilkł, po czym zaczął mnie uspakajać. – Nie bój się, ojciec wróci, nic złego mu się nie stanie, to szybko minie... On był teraz tym dorosłym, ale ja znałam zbyt dobrze wojnę.

Mąż poklepał go po plecach: „Badź mężny i uważaj wraz z bratem na matkę!” Pocałowali się jak dorośli mężczyźni. Potem przytulił mnie mocno i trzymał przez dłuższą chwilę. Wchłaniałam w siebie zapach jego ciała zmieszany ze swądem fabrycznym i tą wojenną gorączką. Wtuliłam twarz w jego szyję, wdychałam bijące z niej ciepło i spokój. Odszedł. Jak przez sen słyszałam jego kroki za oknem, gdzie przed paroma minutami szliśmy razem. Utraciłam poczucie czasu, rzeczywistości. Wojna, jak zawsze, znów odbierała swą należność. Deptała miłość, spokój.

Syrena alarmowa zagłuszyła wszystko. Walilo nieprzytomnie serce w drodze do piwnicy w domu na wzgórzu, a oczy, w których wyschły łzy, wpatrywały się w niebo, czy nie zjawią się samoloty-śmierć. Większość tego

dnia spędziliśmy w schronie. W południe wróciły dzieci i już nazajutrz nie poszły do szkół. Bawiły się w schronie, rozprawały jak dorośli o polityce. Wszyscy mówili teraz tylko o polityce, słuchali radia, komentowali z pasją te usłyszane i powtarzane z ust do ust wiadomości. Medytowali nad tym, co będzie, co robić i czego nie trzeba było robić... Co mówił czy dokąd pojechał ten lub inny minister czy dyplomata. Szykowano wodę, lekarstwa, bandaże, koce na wypadek konieczności sypiania w schronie. Większość ludzi spędziła noc z piątego na szóstego czerwca w schronie. Zgnębieni, sponiewierani – mieszkańcy piwnic, lochów... Jak kiedyś, w Warszawie: odcięci od świata, osaczeni, niepewni jutra, życia. Było tu jednak coś, czego nie zaznałam tam : uparta, heroiczna walka w obronie tej ostatniej przystani po wszystkich katastrofach, jakie spotkały nasz naród na przestrzeni pokoleń! Ale niemniej – strasznie.

Zacząłam po cichu żegnać się z życiem. I chyba nie ja jedna... „Mówią, że trzeba być silnym w takiej chwili, a ja w żaden sposób nie potrafię”, szepnęła mi Ania, trzymając mnie kurczowo za rękę. „Nie mogę panować nad sobą, nic już nie mogę, póki nie dowiem się, co się dzieje z moimi dziećmi”. Spojrzała na mnie oszołomionymi, nie rozumiejącymi oczami i nagle zaczęła śmiać się jak obłąkana. Twarz miała szarą, oczy zimne, szklane jakiegoś, włosy rozczochrane. Stała się naraz inna, nawet ta tkliwość do wszystkich w schronie była niezwykła, chęć przyjścia kadem z pomocą. Zacząłam jej mówić „ty”, czując nagle przedziwną bliskość. Podczas wojny łatwo zacieśniają się więzy między ludźmi. Nie ma czasu na konwenanse i ceregiele.

Wieczorny alarm przyniósł ze sobą huk dział. Walki toczyły się koło Kalkilji, skąd Jardenńcy i Irakijczycy ostrzeliwali całą naszą okolicę, aż do Tel- Avivu. Niebo rozdierały reflektory, rakiety, kolorowe kule. Detonacje stawały się coraz częstsze, bliższe. Salwa za salwą. Nie ustawały w ciągu całej nocy. Mało kto zaryzykowałby , aby rozebrać się i położyć do łóżka. Większość pozostała w schronie. Spali na krzesłach, na podłodze, z dziećmi w ramionach, przy piersi. Nie chcieli niepokoić dzieci częstym budzeniem i bieganiem do shronu. Zresztą w gromadzie, w zaduchu piwnicznym, gdzie nie słyhać tak wyraźnie wybuchów, jest mniej strasznie...

Nie pozostałam z dziećmi w schronie. Moje już nie są takie małe, nie trzeba ich ubierać, nosić na rękach, a skoro sąsiadka z dwojgiem maleństw odważyła się nocować w domu, nie widziałam powodu, żeby nie pójść w jej

ślady. Sąsiedzi z parteru, starsze, bezdzietne małżeństwo, w czasie alarmów zamykali się w swoim mieszkaniu, mówiąc, że nie ma ucieczki od przeznaczenia. „Bóg jest wszędzie, więc najlepiej pozostać w domu”... Sąsiadka z góry uważała, że każda godzina przespana w domu, w czystym łóżku jest częścią ratunku, a zwłaszcza dla dzieci w takiej sytuacji i atmosferze.

Światła w mieszkaniu nie zapaliłam, mimo że synowie pozaklejali szyby ciemnym papierem. Położyliśmy się we troje cicho na rozesłanym wczorajszej nocy tapczanie, nie rozbierając się nawet. Ledwie udało mi się nakłonić synów, żeby choć buty ściągnęli. Ciągłe nadśluchiwaliśmy, gotowi w każdej chwili pędzić do schronu. Od czasu do czasu zagadywaliśmy do siebie z rzadką okazywaną tkliwością. Ale były to pojedyncze zdania, gdyż przerażające ciemności i nieustanne wybuchy odbierały nawet możliwość mówienia. Leżeliśmy wsłuchani każdym nerwem w ciszę przerywaną raz po raz warkotem przemykającego samochodu i echem ciężkich wybuchów. W pokoju było duszno, gdyż zamknęliśmy wszystkie okna. Chłopcy nie dali uchylić ich, bali się widoku ulicy. Kiedy zasnęli, przytuleni, otworzyłam okno, aby wpuścić trochę świeżego powietrza. Czuwałam bez przerwy. Próbowałam przebić myślą tajemnice ukryte w ciemnościach tej strasznej nocy czerwonej. Czas upływał wolno, jakby nie zegar go odmierzał, lecz te brutalne wybuchy.

Okolo piątej nad ranem zawyła syrena jak diabelski dzwon, głos z piekła. Sąsiadka z góry nawet i tym razem nie chciała obudzić dzieci i pójść z nimi do schronu. Nie miała przed oczyma obrazów wojny i zagłady, jak ja. Nie bała się - czy nie zdawała sobie sprawy?

Wiele domów już dotknęła żałoba, a fakt, że nie wiadomo było jeszcze, które zwiększał niepokój i napięcie. Wstawał jasny, piękny dzień. Słońce wschodziło wspaniale, po prostu żał schować się w mrok piwnicznego zaduchu, chosu i chłodu. Żaden samolot nie mącił ciszy w przestworzach. Wstyd naruszyć piękno rodzącego się dnia. Może zląkł się potęgi słońca, życia?... Ludzie skupiali się wokół radia, przyciskali do uszu tranzystory, wsłuchując się w wydobywające się stamtąd głosy niemal z nabożeństwem. Wciąż świeże informacje o wszystkim, co się działo, czym żyło się w tych niesamowitych dniach. W największym skupieniu wychwytywali każde słowo spikera.

- Wiadomości, cicho! – rozlega się nagle w schronie jak przed godziną, jak przed dwiema, jak za każdym razem, gdy rozpoczyna się komunikat. Szszsz... Naelektryzowana fala napięcia rozchodzi się po ciałach i mózgach. Co nowego tym razem? Co z nami będzie, co będzie?! Czy wytrzymamy, damy radę takiej przemocy? Trudno uwierzyć – i jeszcze trudniej nie uwierzyć. Arabscy spikerzy mówią o rzekomych zwycięstwach, o naszym bliskim końcu, każą nam szykować trumny. I wtem słowa: „...nad ranem zostały unieszkodliwione wszystkie samoloty wroga, zanim zdążyły ruszyć do ataku!”...

Potężne westchnienie ulgi. Los wojny rozstrzygnięty. Nie zostaniemy wrzuceni do morza, jak nam grożono dniami i nocami. Można opuścić schrony, odkleić papier z okien, przerwać zaciemnienie. Dzieci wracają do szkół. Ale nasi synowie i mężowie pozostają na usługach wojny. Lęk o nich szarpie serca i dusze, nie pozwala cieszyć się cudownym ocaleniem.

Modliłam się odtąd, żeby cierpienia zadane przez tą wojnę stały się wreszcie narodzinami pokoju. Modliłam się o szczęśliwy powrót męża, gdyż dotychczas nie wiedzieliśmy o nim nic. Ale żołnierze jeszcze długo nie wracali do domu, dziecię Pokój nie zamierzało się narodzić. Niestety, do dziś. Jerozolima stała się znów jednym, nie przedzielonym murem miastem, a legendarna Ściana Płaczu dostępna dla Żydów.

Na szósty dzień wojny przypadło zwycięstwo nad wszystkimi przeciwnikami arabskimi. Nastąpiło zawieszenie broni – odwieczna tutaj namiastka pokoju. Mój mąż wrócił do nas zdrowy i cały! Ja więc „wygrałam” jeszcze jedną, kolejną wojnę...